

Gardzienicki kalejdoskop teatralny

Już sama okolica robi wrażenie. Pięknie odrestaurowany kompleks budynków, obejmujący XVII-wieczny Pałac oraz nieco młodszy Spichlerz, do tego Szopa i Oficyna Północna. 7 grudnia 2018 r., po krótkim postoju w Lublinie, uczniowie kilku klas Poniatówki docierają do Gardzienic, by znaleźć się na widowni niezwykłego Maratonu Teatralnego.

Wszystko zaczyna się spotkaniem publiczności z reżyserem oraz aktorami w jednym z pomieszczeń przebudowanego Pałacu. Tam mamy okazję dowiedzieć się co nieco o budynku, w którym się znajdujemy oraz o tym, co nas czeka. Poznajemy aktorów i muzyków, którzy raczą nas autorskimi pieśniami na bazie tekstów Stanisława Wyspiańskiego, m. in. wiersza „Niech nikt nad grobem mi nie płacze...”. Większość z nas nie ma jeszcze pojęcia, że głównym celem obserwacji tak naprawdę jest widownia, którą stanowią w znakomitej większości uczniowie szkół średnich wraz z opiekunami. Dopiero na koniec wieczoru słowa reżysera o tym, że „aktorzy będą dla nas dziś grać aksamitnie” nabiorą znaczenia.

Preludium do pokazów jest projekcja kilkunastominutowego filmu. Przedstawia on historię Gardzienic i idee, na których opierało się powstanie ośrodka. Wędrownie grupy teatralne działały w okolicy już od lat 60. XX w. Artyści odwiedzali pobliskie wsie i zbierali historie oraz przyspiewki miejscowej ludności, stopniowo zmieniając przedstawienia w barwną mozaikę kulturową. W 1977 r. Włodzimierz Staniewski założył Ośrodek Praktyk Teatralnych, który do dziś prężnie się rozwija.

Teatr w Gardzienicach wypracował sobie wybitnie indywidualny i rygorystyczny system ćwiczeń. Aktorzy muszą dbać o sprawność fizyczną, angażują się w nowatorskie projekty, a okres tworzenia, wydawałoby się, niezbyt długiego spektaklu wynosi nawet kilka lat! W efekcie jednak uzyskujemy sztukę wyróżniającą się swoją formą. Wysiłki te doceniło państwo i w 2010 roku przyznało Gardzienicom dotację funduszy europejskich na rozbudowę i gruntowny remont ośrodka.

Spektakl Pierwszy

Aby zobaczyć pierwsze przedstawienie, udajemy się wszyscy do Spichlerza. Tam czekają na nas aktorzy, którzy już zdołali przeobrazić się w postaci z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, znanemu większości uczniów z lektur omawianych na lekcjach języka polskiego. Spektakl rozpoczyna się nietypowo – zamiast scen z „Wesela” słyszymy dyskusje bohaterów o byciu Polakiem we współczesnym świecie. W dialogach nie brakuje uszczypliwości wobec własnego narodu, zresztą jak i w samym dziele Wyspiańskiego. Dopiero potem sceneria przemienia się w niezwykle widowisko, łączące w sobie elementy wiejskiego wesela oraz starożytnych greckich tradycji. Całość uzupełniają obrazy takich twórców jak Jacek Malczewski (szczególnie często przewija się „Błędne Koło”) czy Jan Matejko.

Widz zanurza się w tej niebywalej rzeczywistości, oszołomiony ogromem kolorów i dźwięków na scenie. Z pomocą przychodzą mu napisy, które – co dosyć nadzwyczajne – wyświetlają się ponad głowami aktorów. Ich obecność jest jednak niezmiernie pomocna. Wystarczy chwila rozkojarzenia, by zagubić się w tym, co się dzieje. Postacie nieomal wrywają sobie prawo do głosu; Panna Młoda wchodzi w słowo Panu Młodemu, Pan Młody Poecie, Poeta zaś Racheli, et cetera, et cetera. Aktor wyciska, ile może z każdej sekundy na scenie. Muzykanci zręcznie dotrzymują im kroku. Wiejskie kobiety prężą się przed mężczyznami z miasta, mężczyźni przesuwiają po nich leniwie wzrokiem, upajając się chwilami tego napędzanego alkoholem i muzyką szaleństwa.

Być może z tego względu ów spektakl trwa niespełna godzinę. Reżyser wyczuwa, że taką ilość wrażeń należy widzowi dawkować, inaczej nastąpi przeciążenie. Całe widowisko jest, jak sam Staniewski stwierdza, „parafrazą *Wesela*”. Dialogi przemieszano na nowo, tu i

ówdzie poprzątkano scenami rodem z teatru greckiego (co zostaje zapowiedziane już na początku wymownym mottem „Zeus i Pan Bóg mieszka w niebie,/ przedsię obaj są u siebie.”). Myślę jednak, że symbolizmu kluczowym scenom mógłby pozazdrościć sam Wyspiański. Weźmy chociażby postać Chochola – ślepeca o kulach, z rozwichrzonymi włosami, co podkreśla ułomność działań bohaterów. I właśnie ten Chochół staje się przewodnikiem ogarniętych obłędem tłumów, kiedy to wszyscy wychylają wspólnie kieliszek za kieliszkiem nad zamkniętą trumną. Czyją? To już reżyser pozostawia do oceny odbiorcy.

Spektakl Drugi

Kilka minut na ochłonięcie i wszyscy przenosimy się do Szopy. Tam wkrótce zaznajomimy się z najprawdziwszą tragedią grecką – „Ifigenią w Aulidzie” Eurypidesa. A wszystkie historie oparte na mitologii greckiej charakteryzuje to, że sporo się w nich dzieje.

Gwoli wstępu: z lekcji języka polskiego większość z nas zapewne kojarzy Edypa lub Antygonę. Postać Ifigenii nie pojawiała się zbyt często w sztuce, większą sławą (choć niekoniecznie dobrą) cieszyło się jej rodzeństwo, tj. Orestes i Elektra. Zastąpili pewnym morderstwem, lecz to historia na inny artykuł. Cała trójka jest jednak dziećmi niejakiego Agamemnona i Klitajmestry. Agamemnon był bratem Menelaosa – tego, który wyruszył na wojnę trojańską, aby odzyskać porwaną żonę Helenę. Bracia w mitologii greckiej zwykle trzymają się razem, toteż Agamemnon postanawia wesprzeć swojego i również rusza w stronę Troi. Po drodze jednak pojawia się problem. W okolicach wyspy o nazwie Aulida kompletnie przestaje wiać, co zatrzymuje całą armię w miejscu. Powodem tych trudności okazuje się być gniew bogini Artemidy, która jako ułaskawienia żąda ofiary w formie Ifigenii.

Mimo początkowych oporów wobec tego pomysłu, Agamemnon szybko ulega wizji bogactwa zyskanego na wojnie i postanawia wypełnić wolę bogini. Zwabia córkę wraz z jej matką na wyspę, zapowiadając, że Ifigenia wyjdzie za mąż za znanego w całej Grecji wojownika Achillesa. Kobiety pospiesznie przybywają na miejsce, gdzie czeka je niemałe rozczarowanie i po prostu przerażenie, bowiem o prawdziwych intencjach Agamemnona dowiadują się przez przypadek.

Można się domyślić, że jeśli do wykonania takiej sztuki zabierze się zespół z Gardzienic, to powstanie spektakl o ogromnym ładunku emocjonalnym. Chór i bębny dbają o regularne budowanie napięcia. Niezwykłym zabiegiem okazuje się też dołączenie do tekstu wstawek w antycznej grece, co dodaje całości nadzwyczajnej powagi i zapewne wprowadziło niejednego z obecnych w zdumienie. Do tego scena cały czas się przeobraża. Dzieje się tak za sprawą ruchomych kłoców, które są na bieżąco przesuwane wedle potrzeby. Ta decyzja reżysera nadaje wydarzeniom dynamiki.

Aktorzy (a w tym przedstawieniu zwłaszcza aktorki) wyraźnie obrazują walkę ambicji, sumienia i ludzkich emocji. Eurypides w brutalny sposób pokazuje upadek wartości, kiedy ojciec decyduje się poświęcić własną córkę w imię swoich pragnień i interesów. Jednak większe wrażenie od motywu męczeńskiej śmierci Ifigenii wywiera na widzu dramat rodzinny rozgrywający się na jego oczach. Zakończenie rozdziera krzyk oszalałej z bólu matki, zostawiając uchyloną furtkę dla losu, który później czeka Ifigenię. Dalsza część historii dziewczyny nie jest bowiem wcale tak oczywista, jak się wydaje... To już jednak pozostawiam ciekawskim.

Spektakl Trzeci

Wciąż oszołomieni mocą „Ifigenii w A...”, płynnie zasiadamy naprzeciwko kolejnych aktorów. Atmosfera tego przedstawienia będzie zgoła inna, o czym przekonamy się już w pierwszej scenie, kiedy to kobieca postać obleje alkoholem z wysokości pierwszego piętra leżącego na ziemi jegomościa.

„Finnegans Wake”, bo taki jest tytuł ostatniej sztuki tego wieczoru, to dzieło inspirowane twórczością Jamesa Joyce’a. Spektakl jest syntezą kilku ostatnich dzieł pisarza („Anna Livia Plurabelle”, „Hotel Finna” oraz tytułowe „Finnegans Wake”). Całość układa się w nadzwyczajną feerię barw i dźwięków, jako że wszystko dzieje się na stypie w irlandzkim pubie.

Ostatnia powieść Jamesa Joyce’a to prawdopodobnie jedna z najbardziej enigmatycznych w historii literatury. Została napisana językiem idiosynkratycznym, a więc stworzonym przez autora na potrzeby pojedynczego dzieła. Zjawisko to jest na tyle rzadkie, że nawet słowo „idiosynkratyczny” nie przyjęło się jeszcze całkowicie w języku polskim i próżno go szukać w większości słowników.

Joyce stosuje w utworze rozmaite zabiegi, które dają niepowtarzalny efekt. Pośród zwykłych, znanych nam słów płaczą się niezwykle hybrydy stworzone ze zbitki kilku wyrazów (czasem z różnych języków!). Do tego dołącza narracja naśladująca styl snów, która nie trzyma się żadnych reguł. Dzięki temu otrzymujemy opowieść zaszyfrowaną nadzwyczajnym językiem (zainteresowanych odeślę tu do Internetu – tam bez trudu znajdziecie fragmenty, które sprawią, że złapiecie się za głowę). Dość powiedzieć, że polskie tłumaczenie z 2012 roku było dopiero 7 pełnym na świecie, mimo że oryginał opublikowano już w 1939 roku!

Mogłoby się wydawać, że próba przedstawienia tej gmatwaniny na scenie jest karkołomnym przedsięwzięciem. Okazuje się jednak, że to nieprawda! Luźny strumień świadomości płynący w słowach Joyce’a pozwolił aktorom na stworzenie niezwykle etiud. Tekst wyzwolił pomysłowość, dzięki czemu na scenie ujrzeliśmy wielogłowego smoka, zakonnicę zwodzoną muzyką skrzypiec, czy dialogi wygłaszane w zagadkowym języku autora. Jeżeli to wszystko brzmi dziwnie, to dobrze. Postaci i wydarzenia zmieniają się na scenie jak w kalejdoskopie, zostawiając po sobie poczucie surrealizmu i zaciekawienia. Tak, zaciekawienia, bo choć widz nie do końca rozumie, co się dzieje, to nie przestaje na niego działać urok rzucany przez każdy kolejny wątek. Pewne zrozumienie przychodzi na koniec. Wtedy Joyce w osobie jednego z aktorów odsłania część ambiwalentnej opinii o swojej ojczyźnie: „Trzeźwa Irlandia to martwa Irlandia!”.

Po spektaklach

Na początku reżyser wspomniał, że aktorzy będą dla nas „grać aksamitnie”. Te słowa nabrały znaczenia już przy dyskusji w klasie, kiedy to okazało się, że żaden spektakl wystawiany w Gardzienicach nie ma jednej, ustalonej wersji. Pierwsze minuty z widownią w holu głównego budynku służą ekipie teatralnej do rozpoznania sytuacji. Potem następuje krótka narada z reżyserem, podczas której zostaje podjęta decyzja, w jaki sposób należy grać. Przykładowo „Ifigenia w A.” przed widownią złożoną głównie z dorosłych okazuje się być dużo brutalniejsza, a nawet drastyczna. Z tego wynika, że nawet wybierając się dwa razy na ten sam spektakl, możemy spodziewać się różnych widowisk!

Wszystko to jest efektem unikalnego trybu pracy aktorów i reżysera. Teatr gardzienicki czerpie z praktyk oraz sztuki ludowej, średniowiecznej, a także antycznej. Każda sztuka jest dostosowywana do aktorów, nie na odwrót. Skład występującej grupy zmienia się co jakiś czas, dzięki czemu dany spektakl może wyglądać zupełnie inaczej już po kilku miesiącach. Być może z tego względu Staniewski, mówiąc o swoich aktorach, używa terminu „konstelacja”. Są to ludzie, którzy tworzą niezwykle kompozycje, a każda z nich świeci własnym światłem. W dodatku obserwacja takich gwiazdozbiorów jest naprawdę zajmująca, nawet dla niezaznajomionych z tajnikami owej astronomii.